

Idę swoją ścieżką...

Rozmowa z Urszulą Sztorc de Cáceres, tłumaczką i wydawcą pisma
"Komunikat Polonii" w Limie w Peru



Urszula Sztorc de Cáceres, fot. Janusz Szlechta.

Janusz Szlechta

Jak to się stało, że znalazłaś się w Peru i zostałam obywatelką tego państwa?

Urszul Sztorc de Cáceres

Studiowałam budownictwo lądowe i przemysłowe w Leningradzie (obecnie Sankt Petersburg) w Związku Radzieckim. Tam poznałam mojego męża, który jest Peruwianczykiem. Skończyliśmy studia w roku 1979 i chcieliśmy zostać w Polsce. Wówczas robiono jednak wielkie trudności obcokrajowcom, mojemu mężowi też, więc nie było wyjścia – wyjechalśmy do Peru.

To jest piękny kraj, ale przecież tak bardzo różny od Polski, z zupełnie inną kulturą. Jak udało Ci się tam odnaleźć, jak się zaadaptowałaś?

Początki były piękne. Bo jak człowiek jest bardzo młody, żyje beztrosko, bez dzieci, jest zakochany, to wszystko mu wydaje się piękne. Dopiero kiedy przychodzą na świat dzieci, kiedy zaczynasz mieć coraz więcej obowiązków, to narastają trudności.

Lima, gdzie mieszkam, jest 8-milionowym miastem. Komunikacja miejska jest tu w stanie beznadziejnym, tak że poruszanie się po mieście jest bardzo trudne. Przyjechałam do nowego dla mnie kraju, nie znałam ludzi, nie znałam panujących tu realiów – bardzo trudno było mi żyć. W Peru życie oparte jest na znajomościach – im więcej masz znajomych, tym lepiej żyjesz. Powoli, powoli, każdy człowiek zaczyna wydeptywać swoje ścieżki, więc i ja wydeptywałam swoje. Trudno się do tego przyzwyczaić, mam z tym problemy do dzisiaj.

Szukałaś pracy w swoim zawodzie?

Oczywiście, że szukałam, ale w tym czasie w Peru kobiety w ogóle nie pracowały w budownictwie. W końcu lat 70. kobieta mogła być nauczycielką, pielęgniarką albo sekretarką. Kobieta inżynier nie istniała, nie było więc dla mnie pracy. Nie pracowałam przez pewien czas, a potem znalazłam pracę jako tłumacz języka rosyjskiego. Robiłam też tłumaczenia na hiszpański z języka polskiego dla polskiej ambasady, ale zdarzało się to sporadycznie. Teraz tych tłumaczeń jest troszeczkę więcej, ale też nie za wiele. Jednakże tłumaczenia stały się moim podstawowym zajęciem. Dzięki temu jakoś się realizuję i czuję się potrzebna. W Peru kobiety zarabiają o wiele mniej niż mężczyźni, więc to, co ja zarobię, wystarcza na... lody.

To mąż zatem utrzymuje dom?

Tak, Domingo zarabia całkiem nieźle. Jest inżynierem budowlanym i pracuje jako inspektor na budowie. W Peru istnieje tak zwane *machismo*, czyli że mężczyzna musi utrzymać rodzinę.

Jestem już ponad 30 lat w Peru, zaaklimatyzowałam się i nie jest mi źle. Mam średnio wyższą pozycję w hierarchii społecznej, ale... zawsze tęskniłam i tęsknię za Polską. Kiedy przyjeżdżam do kraju, pobędę jakiś czas, nacieszę się, wtedy mówię sobie – pora wracać do Limy. A po pewnym czasie w Limie zaczynam tęsknić i marzę o tym, żeby znów polecieć do Polski.

Jak często bywasz w Polsce?

Początkowo przylatywałam co 2-3 lata, potem co roku. A to dlatego, że moja córka Agata studiowała dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. Od dziecka na wakacje jeździła do dziadków w Polsce. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, też były polskie, więc to chyba przesądziło, że wybrała studia w Polsce.

W jakim języku rozmawiacie w domu?

Trochę po rosyjsku, trochę po polsku i hiszpańsku – w zależności od tego, co komu przyjdzie do głowy. Nauczyłam mowy polskiej Agatę, nauczyłam też męża. Domingo nie mówi może doskonale, ale trochę pisze po polsku, świetnie rozumie i nie ma żadnych trudności z towarzyską dyskusją. Nawet psa nauczyłam rozumieć polską mowę, a tak w ogóle to pies jest poliglotą.

Jak wyglądało Twoje wejście w rodzinę męża?

Nie miałam zbyt dużo problemów. Największe, na początku, miałam z teściową. Okazuje się, że nieważne, czy to jest w Polsce, w Stanach Zjednoczonych czy w Peru – problemy z teściowymi są wszędzie i zawsze. W Peru tak naprawdę jest matriarchat – matka jest głową rodu, a ojciec od zarabiania pieniędzy. Ponieważ więzi w peruwiańskich rodzinach są bardzo silne, więc matce jest bardzo trudno popuścić trochę swoim dzieciom, dla niej dziecko jest zawsze dzieckiem. My w Europie jesteśmy bardziej samodzielni, poza tym mamy inną kulturę i mentalność, więc na początku starcia były. No, ale z czasem sprawy nabrały innego wymiaru, wszystko się poukładało.

W jakim języku kłóciłaś się z teściową - po hiszpańsku?

No nie, przyjechałam praktycznie bez znajomości hiszpańskiego. Na początku mój mąż wszystko tłumaczył. Ale kiedy wyszedł do pracy, to rozmawialiśmy przy pomocy rąk i nóg. Nie umiałam się wysławić, więc byłam potulna i grzeczna, ale też nie rozumiałam, czego na przykład teściowie ode mnie oczekują. Kiedy już zaczęłam więcej rozumieć, zaczęły się pojawiać problemy, przede wszystkim dlatego, że chciałam prowadzić mój dom na naszą modłę, a nie na modłę teściowej.

Kiedy przychodzą święta Bożego Narodzenia, to jak je obchodzicie?

Po peruwiańsku, nie po polsku. Pewnie dlatego, że wtedy jest ciepło, no i jest łatwiej. No bo wezmę indyka, włożę do piecyka, upiekę i po sprawie. A nasza Wigilia wymaga sporego zachodu.

Natomiast staramy się, aby spotkania Polonii odbywały się w polskiej atmosferze. Co roku 25 grudnia organizujemy polską mszę, którą odprawia ksiądz Czesław Faron. Po mszy odbywa się spotkanie. Ktoś przyniesie śledzika - bo akurat dostał z Polski, lub makowiec, piernik czy inną polską potrawę i przez chwilę czujemy się jak przy stole rodzinnym.



Lima, fot. flickr

Jak wielu jest Polaków w Limie, jak wyglądają Twoje kontakty z Polakami?

W samej Limie jest około stu polskich rodzin, czyli jakieś 600 osób. Większość z nich są to jednak tylko osoby pochodzenia polskiego. Osób mówiących dobrze po polsku, biorąc pod uwagę nawet pracowników ambasady, jest garstka, najwyżej 30.

Od ponad 20 lat działa nasze stowarzyszenie Związek Rodzin Polsko-Peruwiańskich „Dom Polski”. W każdy pierwszy czwartek miesiąca o godzinie 7 wieczorem, w pomieszczeniach polskiej ambasady, organizujemy spotkania członków stowarzyszenia. Mamy do dyspozycji bibliotekę i salony ambasady. Każdego takiego wieczoru ktoś przygotowuje informacje na temat aktualnych wydarzeń w Polsce albo na temat obchodzonej właśnie ważnej rocznicy, a potem są ciasteczka, kawa, herbata i rozmowy towarzyskie. Wtedy wreszcie każdy może się wygadać po polsku.

Na spotkania do ambasady przychodził wraz z żoną **hrabia Stanisław Potocki**, brat ostatniego ordynata Łącuta. Od czasu do czasu zapraszał do Limy muzyków z Łącuta i urządzał wspaniałe koncerty polskiej muzyki. (*Stanisław Potocki zmarł 28*

lipca 2014 roku w Limie w wieku 82 lat. Jego prochy zostały przewiezione do Łańcuta i złożone obok prochów rodzinnych w krypcie kościoła farnego, przyp. red.).

Pojawiała się też etnohistoryk prof. Maria Rostworowska, która należała do grona najwybitniejszych naukowców latynoamerykańskich (zm. w 2016 r., przyp. red.). Przychodził prof. Krzysztof Makowski, archeolog, prowadzący w Peru prace wykopaliskowe z wielkimi osiągnięciami. Bywają też potomkowie Polaków, którzy bardzo dużo zrobili w przeszłości dla Peru, m.in. profesora Edwarda Habicha – założyciela Politechniki Limeńskiej. Mogłabym wymienić jeszcze wiele znanych i znaczących w Peru nazwisk Polaków. Większość z tych osób znam osobiście, utrzymuję z niektórymi bliskie kontakty.

Muszę dodać, że współpraca z polską ambasadą układa się nam bardzo dobrze. Przed laty próbowano sprzedać budynek ambasady z całą posiadłością. Jest to piękne miejsce, ważne dla nas i my, jako stowarzyszenie, wystosowaliśmy protest do Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Schlebiamy sobie, że to dzięki nam nie doszło do sprzedaży ambasady.

Jaka jest ta peruwiańska Polonia, jakie są jej związki z Polską?

Większość stanowią małżeństwa mieszane z końca lat 70. i początku 80., kiedy to Peruwiańczycy studiowali jeszcze w Polsce. W naszym stowarzyszeniu jest tylko jedno małżeństwo, w którym mąż jest Polakiem, a żona Peruwianką. Prawie wszyscy mają wyższe wykształcenie, ale różnie wygląda ich sytuacja. Jednym powodzi się lepiej, innym gorzej. Niektórzy Polacy są bardzo dobrze sytuowani, ale większość należy do klasy średniej. Biednych nie ma, bo Polacy zawsze coś sobie znajdą, nie czekają, aż im samo z nieba kapnie.

Jeśli chodzi o związki z Polską – to w większości rodzin jest podobnie, jak w mojej: żony ciągną do kraju ojczystego i starają się, aby ich dzieci przynajmniej trochę rozumiały i mówiły po polsku. Niektóre, jak moja Agata, studiowały w Polsce.



Lima, Peru



Lima, Peru

Do niedawna zajmowałaś się wydawaniem polskiego periodyku. Co to była za gazeta, do kogo skierowana?

Był to niewielki biuletyn, wydawany w języku hiszpańskim, raz w miesiącu, skierowany do członków naszego stowarzyszenia, ułatwiający nam wzajemną komunikację. Nazywał się „Biuletyn Związku Rodzin Polsko-Peruwiańskich Dom Polski”. Zamieszczałam informacje o tym, co udało nam się zrealizować i o tym, co

zamierzamy robić w najbliższej przyszłości. Staralam się dawać kompendium wiedzy na temat najważniejszych aktualnych wydarzeń w Polsce. Zamieszczałam też mini lekcje języka polskiego, czyli wybrane tematycznie zwroty i polskie słówka. Z rzadka ktoś mi w tym pomagał, bo generalnie ludzie niechętnie garną się do pracy, za którą nikt im nie płaci. Wcześniej pomagała mi Krystyna Ciapciak, a kiedy zostałam prezesem stowarzyszenia – Agata, ale gdy wyjechała do Polski, zostałam sama.

Ale już nie wydajesz biuletynu - dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że jakiś czas temu zmienił się prezes – po nim został Juan Kędzierski; niestety, po polsku znał tylko kilka słów. Potem na dłużej wyjechałam do Polski. Biuletynem zajęła się więc inna osoba.

Czy masz kontakty z Polakami z Polski?

Owszem, ale ostatnio zarówno ja, jak i moi przyjaciele, staramy się ich unikać.

Dlaczego?

Bo są osoby, które przyjeżdżają, nawiązują z nami kontakty i starają się nas wykorzystać do różnych niecznych celów. I teraz, jeśli ktoś przyjeżdża z Polski, to owszem, chcielibyśmy mu pomóc, ale boimy się, bo nie wiemy, kto to jest i co zamierza. Kiedyś mężczyzna, który przyleciał prosto z Polski, zadzwonił do nas i rozmawiał z mężem. Chciał się z nami spotkać, ale się nie pokazał. Po tygodniu znajomi mi powiedzieli, że siedzi w więzieniu za narkotyki. W więzieniach peruwiańskich coraz więcej jest Polaków, którzy zajmują się handlem narkotykami. Ci ludzie, dla pieniędzy, narażają nas.

Czy zatem, po tylu latach spędzonych w Limie, bardziej się czujesz Polką czy Peruwianką?

Wsiąkłam już w tutejsze życie, tu jest mój dom, moja rodzina, ale... wciąż czuję się Polką. I wciąż tęsknię za krajem.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.

JANUSZ M. SZLECHTA - skończył studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest również absolwentem podyplomowych studiów na Wydziale Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Dziennikarstwo stało się jego zawodem i pasją. Zaczynał w Radiu Kraków, potem kilka lat pracował w Tarnowskim Magazynie Informacyjnym „TeMi”, a następnie w tygodniku „Więści” w Krakowie i w „Gazecie Krakowskiej”. W sierpniu 1995 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i podjął pracę w „Nowym Dzienniku” w Nowym Jorku - największej, prestiżowej polonijnej gazecie w USA. Do stycznia 2016 roku pracował tam jako szef działu polonijnego, zajmując się sprawami dotyczącymi życia Polaków w USA i w świecie.

Żyjąc wśród amerykańskiej Polonii, stara się jej służyć nie tylko swoim piśmiennictwem, ale i działalnością społeczną. Od wielu lat jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej w New Jersey. W 2005 roku otrzymał nagrodę Tarnowskiej Fundacji Kulturalnej - „Uskrzydłony”. A w marcu 2012 roku kapituła przyznała mu nagrodę „Wybitny Polak w Nowym Jorku 2012” w kategorii „osobowość” oraz dyplom Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Nagroda ta jest niejako podsumowaniem zarówno jego działalności dziennikarskiej, jak i tej na niwie społecznej.



WYDAWCA: KREATOR
www.krk.pl

ISBN 978-83-7344-069-2



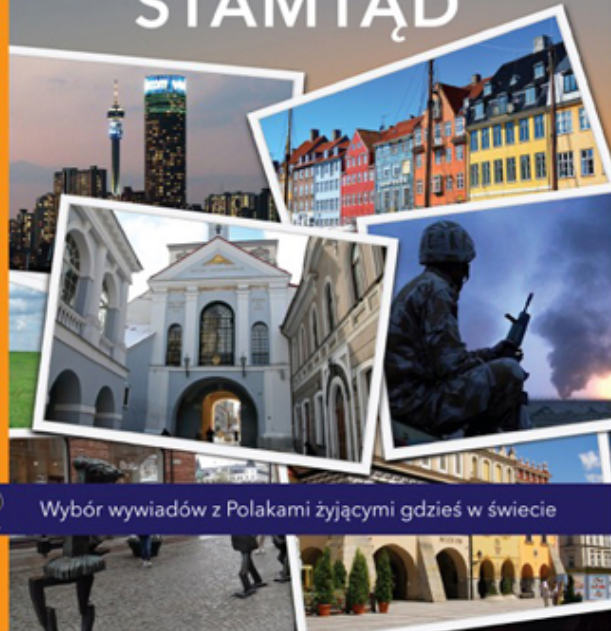
9 788373 440692

Janusz M. Szlechta

WIDZIANE STAMTĄD

Janusz M. Szlechta

WIDZIANE STAMTĄD



Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie